

## Zamyślenia



## Jest tylko jedno miejsce... (1)

*...nouveau mort –  
nowo narodzony, nowo umarły.*

Jean Guittou

Obudził go wrzask ptaków i wysokie głosy chłopaków. Krzyk podwórkowy, codzienny. Nocne cienie rozwały się lub też wpadły w przepaść za przyczyną zwyczajnego spojrzenia w okno. Jeżeli pragniesz aby sny trwały przy tobie, nie spoglądaj w okno. Kto tak kiedyś powiedział? Matka, ich domowy Anioł Stróż oplakując teraz jego wyjazd w daleki, nieznaną świat. W tym świecie była jego siostra. Właśnie teraz budzi się w swoim pokoju, robiąc wiele hałasu w łazience. Grube ściany starej kamienicy przepuszczają szum wody wydostającej się z gardzieli przedpotopowego kranu. Ona jest jego nowym Aniołem Stróżem. Niepotrzebnie ludzi się, że Wanda przeprowadzi go brzegiem przepaści, w której kłębił się ten obcy świat, ten, co go zaczął dopiero smakować, rozpoznawać dotykiem, obwąchiwać. Wiedział wprawdzie od początku, kiedy tylko tu się znalazł, że lepiej nic nie sprawdzać, nic nie kojarzyć, niczego nie dotykać, na nic nie liczyć, ale mimo woli robił to. Nerwowo i pospiesznie. Już pierwsze trudności z uzyskaniem wizy nastroiły go minorowo. Nie było przecież łatwo wydosłać się z jego kraju, szczególnie takim ludziom jak on. Nie chciał tego pamiętać, leżąc teraz na wąskiej kanapie zmęczony snami i widziadłami, które go w każdą taką noc osaczały. „Należy braciszku wziąć się w garść. To Ameryka! Inny świat, inni ludzie!”. W tym, co mówiła, co powtarzała wiele razy, było sporo prawdy, tej prawdy, którą przecież od dawna nosił w swoich myślach. Ostrzegająca go przecież w listach. Nie, nie miał jej tego za złe, przeciwnie, powinien być jej wdzięczny z tego powodu. Ale on nie był jej wdzięczny. Zmieniła się do tego stopnia, że często myślał, iż jest to obca, nieznaną mu istota, która go przysparzała z litości. I bał się tego rodzaju myśli. Do ambasady w Warszawie przywiózł list polecający, który powinien pomóc mu wzbicić się w powietrze i polecieć. Pamiętał, że wówczas ciążył mu na piersi ów list, jakby dźwigał wewnątrz kieszeni cały świat z jego epokami jury i triasu. Nigdy nie poniżyłby się do takiego przedsięwzięcia, ale wówczas była to konieczność, i dobrze zrobił. Miał nadzarpnięte nerwy. Nazywał to: psującą się coraz

bardziej przedziałnią nerwów, i czuł cholerną tremę, kiedy stał w kolejce do drzwi ambasady. Był wczesny ranek i nocne mgły prześwieślało nieśmiało wschodzące słońce. I było diabelnie zimno po nieprzespanej nocy w zatłoczonym pociągu. Stał w długiej kolejce współtwórców rzeczywistości, pośród swoich rodaków, którzy po wydarzeniach sześćdziesiątego ósmego roku opuszczali kraj w jakimś innym pośpiechu. Dzięki swoim zdeterminowanym decyzjom dowiadawali się w urzędach, kim tu byli do tej pory, zaś dzięki wiedzy o tym, kim byli, rosło w nich przekonanie, czym była otaczająca ich rzeczywistość tych wszystkich lat po wojnie. On także czuł od dłuższego już czasu, jakby był błędem owej rzeczywistości. Nie, nie myślał dotąd poważnie o emigracji. Potem przyszedł czas kiedy stał się powoli zlepkiem samych sprzeczności i taka świadomość w końcu w nim zakiełkowała: musi wyrwać się z tego bagna, musi! Poczuł w sobie jakąś dziwną energię i owa energia stała się właśnie życiem a nie rozpadem. Uskrzydliłi jego zwicniętą kondycję właśnie ci ludzie czekający w kolejce. Ostatecznie nie on jeden wpadł na taki pomysł wydostania się zza tych barier wysokich aż do nieba. A teraz, kiedy już to uczynił, łapał się coraz częściej na tym, że świat, który stał się jego wyborem, że ten, w jakimś sensie wymarzony świat, ma cierpki smak a miejsce jego wyboru staje się z każdym dniem miejscem wydobywającej się na wierzch niechęci. I ta myśl, że nie potrafił tego miejsca zaakceptować, poczuł się w nim na tyle dobrze, aby móc tu żyć lub choćby wegetować nie dawała mu spokoju. Zasklepił w sobie tę niechęć i znów ją otwierał każdego takiego ranka pośród wrzasku dzieci i plectwa, ostrego strumienia lejącej się do pustej wanny wody. Wchłaniał codziennie w siebie te na pozór drobne i nieważne rzeczy, zdarzenia, wchłaniał jak gąbka i miał zawsze potem spocone ręce, twarz. Brał prysznic, kiedy już pozostawał sam w mieszkaniu zważając, aby licznik wody nie wybił zbyt wiele cyferek tych ich cholernych galonów przeliczanych na dolary, które później mogła sprawdzić siostra. Jego toaleta trwała zatem bardzo krótko. Postanowił nawet nie golić się. Nie, nie podejrzewał siostry aby notowała stan zegarów, to nonsens. Z pewnością tak nie było. Z drugiej zaś strony ona na wszystkim potrafiła oszczędzać, co stało się już nawykiem wszystkich mieszkających w tej dziurze Polaków. Oto skończona kąpiel. Teraz wystrzelił toster, wyrzucając z siebie dwie gorące kromki białego jak śnieg chleba. Rozprzestrzeni się po mieszkaniu zapach parzonej w ekspresie kawy. Wrota raj. Codzienne czynności, które zapamiętał i które weszły w rytm jego życia. Leżał nieruchomo, żeby nie poruszyć skrzypiących sprężyn kanapy. Wtedy ona wejdzie i każe mu wstać, aby potowarzył jej przy porannej filiżance kawy. Czy zawiodła go jego własna siostra? Trudno to orzec. Był to problem twardszy od orzecha. Podobnie jak ci rybociy pragmatycy, z którymi szukał kontaktów naukowych przez pierwsze tygodnie. Dla jednych stanowił okaz komunistycznej rzeczywistości z której zdołał się wyrwać, używając podstępny, dla drugich był zbędną kroplą w małym kosmosie ich działań w nowej rzeczy-

wistości i obcym kraju, w każdym razie czymś w rodzaju przedmiotu niechęci. Nikt z nich nie witał go tutaj jako rodaka, gdyż byli zamknięci na głucho odnośnie spraw o których usiłowali rozmawiać, na które chciały zwrócić ich uwagę. Kiedy po tego rodzaju nieudanych spotkaniach wracał do domu, siostra nie witała go wylewnie, jakby był kimś obcym, nawet nie sublokotorem. Czas mijał, a on był tu nadal nikim. Z jego tytułami naukowymi, które mogły jedynie odbijać się w kałuży po ulewnym deszczu. Trzeba przeczeć, to minie. Każdy okres przejściowy bywa bolesny, tłumaczył samemu sobie. Czytał właśnie do poduszki Jeana Guittou, który twierdził, że bywają wysiłki, które odsuwają osiągnięcia i okresy snu, które przynoszą rozwiązania i owoce. Tak, zasnąć, zasnąć na wiele tygodni lub nawet miesięcy. Ale to było niemożliwe. Tego rodzaju ludziom jak on potrzebne było natychmiastowe uznanie. „Trzeba jednego szczęśliwego przypadku, abyś stanął tu na nogi, Andrew”, Twierdziła siostra i pewnie miała rację, kiedy dodawała jeszcze to jedno zdanie, zaakcentowane kilkoma wykrzyknikami: „To jest Ameryka, Andrew!”. Nazywała go od pewnego czasu... Andrew, a przecież miał swoje własne imię. Mister Andrew J.R. Wala... czy to rzeczywiście brzmi lepiej? Czuł do niej, mimo wszystko jakąś braterską tklivość. „Czyś ty oszalał do reszty, aby być tak nieszczęśliwym z powodu paru odmów w kwestii zatrudnienia?! Jakoś wytrzymam z tobą w tym domu. Wytrzymałam z moim mężem tyle czasu...”. Czasami zdawało mu się, że jego siostra jest słaba jak dziecko, ale mylił się co do tego. Za każdy otrzymany policzek od tego świata, zadawała swoje razy wokół, przez co nie miała tu znajomych ani przyjaciół. I nie zależało jej na tym. Utrzymywała go z musu, gdyż inaczej nie wypadła siostrze. Kiedy zbyt długo trwała pomiędzy nimi złowieszczą monotonią wiedział, że w myślach widziała go opuszczającego jej mieszkanie. Przy każdej sytuacji nie ukrywała tego, że jest dla niej kłopotem, ciężarem i trudem, ale robiła to nad wyraz spokojnie, z pewnym nawet taktem. Łapał się na tym, że wówczas gotowy był nawet żebrać o litość. Po prostu spowszedniał jej po tych paru miesiącach. Siostrzana miłość, gorzka i zła. Jakże się zmieniła przez te lata pobytu w Ameryce. Wychodził każdego ranka i wracał późnym popołudniem, rozkładając już od progu bezradnie ręce. I znów nic z tego. Nie chcą obco-krajowca. Wszystkiemu winna ta mała dziura. Gdyby na ten przykład mieszkał w Chicago lub Nowym Jorku... przedrzeźniał samego siebie. Są sytuacje, w których szczerść jest grzechem, ale przecież musiał jej o tym powiedzieć. To był jego szaniec obronny. Szedł do swojego pokoju pozostając tam, jak w jakiejś jamie, przepaści. W głowie kłębiły mu się różnego rodzaju myśli. Jego siostra starzała się sercem szybciej niż ciałem, stąd też jej zachowanie po każdym z takich powrotów. Zawsze wtedy coś wypadło jej z ręki, coś zbiła, roztrzaskała o podłogę. Był pewny, że musi przełamać w sobie to wszechogarniające go poczucie bezsensu działania, wszystkie rozpaczywe niżej i depresje.

cdn.